
John Michael Greer; tłum. Petros CC-BY-SA 2019-21

Oryginał w: <https://czytanki.tepewu.pl/calibre/book/18>

Rozdział Piąty: Przygotowania

Analogie między ewolucją biologiczną a transformacją społeczną ludzkości są bardzo ważne dla ekologicznej wizji przyszłości. Jest to jednak porównanie niekompletne. O ile wiemy, żaden inny gatunek nie potrafi przewidywać zmian we własnym środowisku. Wszystkie one jedynie reagują na pojawiające się zmiany.

Ludzie, przynajmniej w teorii, nie mają takich ograniczeń. Nasza zdolność przewidywania przyszłości jest daleka od ideału, ale przynajmniej możemy próbować.

Ważne jest, abyśmy przy tym odrzucili popularne założenie, że przemiany społeczne wydarzają się z wyboru ludzi i to ich wola decyduje, jak daleko proces się posunie. Jak wiele współczesnych „ślepych plamek” i ta ma swe korzenie w utudzie niezależności, omówionej w Rozdziale Pierwszym. A przecież jeszcze nie tak dawno większość myślicieli postrzegala ludzkość w kontekście ograniczeń i kompromisów, pojmowanych jako niezbędne i właściwe. To – bardziej „organiczne” – podejście legło u podstaw myśli Edmunda Burke i znalazło wyraz w eleganckiej konstrukcji Konstytucji USA. We współczesnym społeczeństwie ma ono jednak niewielu zwolenników.

Nawet Marksowska „odroczone Utopia” poszła dziś w odstawkę, ustępując nowym ideologiom lewicy, obiecującym idealne społeczeństwo z natychmiastową dostawą. Jednocześnie prawica porzuciła swoją historyczną rolę strażników ładu społecznego – stąd przecież pochodzi „konserwatyzm” w terminologii politycznej – i próbuje opornemu światu narzucać własne wersje utopii. Dziś każda ideologia na politycznej scenie – czy w centrum, czy na obrzeżach – gromko zapowiada, że świat idealny jest tuż, tuż, jeśli tylko ludzie przyjmą jedynie słuszną receptę jego urządzenia.

Stają częścią tego typu retoryki jest porównywanie świetlanej przyszłości, czekającej ludzkość po przyjęciu danej ideologii, z okropieństwami, jakie ją czekają w innym wypadku. Charakterystyczne jest, że zachwalane rozwiązanie nie musi mieć nic wspólnego z kryzysem, jaki ma uleczyć. Nie tak dawno temu, na przykład, czytałem żywo napisany esej, zalecający ogólnoswiatowe wprowadzenie socjalizmu, aby ludzkość zaczęła żyć w harmonii z naturą. Pomińmy już fakt, że jest to tak samo prawdopodobne, jak powtórka z wojny Krymskiej; ważniejsze jest, że to nie rozwiąże problemu. Na poziomie teorii, zmiana właścicieli środków produkcji nie zmienia sposobu, w jaki owe środki reagują z ekosystemem. W historii zaś socjalistyczne i kapitalistyczne państwa mają równie czarne karty, jeśli chodzi o środowisko naturalne. Autor owego eseju nie próbował rozwiązać problemu, lecz znaleźć sposób promowania swojej ulubionej ideologii.

Surwiwalizm podpira się tym samym wątpliwym rozumowaniem. Surwiwalista identyfikuje problem, jakikolwiek, orzeka, że prowadzi on nieuchronnie do upadku cywilizacji i stoczenia się do poziomu świata z Mad Maxa, pełnego zdziczałej tłuszczy, nadającej się tylko do wystrzelania, i przedstawia surwiwalistyczną receptę jako jedynie możliwą.

Rytualny zaśpiew polityka ubiegającego się o urząd jest wręcz karykaturalnym przykładem tego myślenia. Cokolwiek gnębi jego wyborców, rozwiązanie jest zawsze to samo: usunąć urzędującego łajdaka ze stanowiska i dać szansę następnemu.

Możemy się spodziewać, że jak tylko granice wzrostu znajdą się znów w centrum publicznego dyskursu, rzecznicy zmian społecznych wszelkiego sortu postarają się przedstawić swoje idee jako rozwiązania, na które świat czeka.

Projekcja cienia

Nie zawsze jest to tylko taktyka retoryczna. Wiara w nieuchronny skok ewolucyjny, skrytykowana w *Rozdziale 4* jest tylko jednym przykładem z oszałamiającego łańcucha politycznych i pseudopolitycznych ruchów, co wierzą święcie, że przyszłość już zaraz sama spadnie z gałęzi prosto w ich ręce. Faszystom marzy się powtórka tryumfu z lat 1930, marksiści marzą o rewolucji proletariatu. Bojownicy o sprawiedliwość społeczną tęsknią do redystrybucji bogactwa. Ludzie Klanu śnią, że Południe znów powstanie, a neoprymitywiści, że cywilizacja gdzieś sobie pójdzie, zabierając ze sobą sześć miliardów niepotrzebnych dusz, aby reszta mogła wieść radosny żywot myśliwych-zbieraczy. Wielu innych też ma nadzieję, że nieuchronny koniec cywilizacji przemysłowej rozwiąże wszystkie problemy świata.

Ostatni raz świat widział tak uniwersalne remedium, kiedy na jarmarkach królował Oryginalny Olej Wężowy Doktora Focha z Arkansas.

Wystarczy parę minut na byle forum sieciowym, czy na spotkaniu gdzieś na obrzeżach politycznej sceny, aby znaleźć ludzi wierzących, że następnym etapem historii będą narodziny takiego społeczeństwa, w jakim ONI chcieliby żyć. Niektórzy mają już szczegółowe plany owej idealnej przyszłości, wsparte – metaforycznie a czasem dosłownie – pełnym workiem cytatów, pieczołowicie wybranych z pism ich ulubionych autorów czy z mediów. Na drugim końcu spektrum mamy tych, którzy nie mają bladego pojęcia, co przyniesie przyszłość, ale kurczowo trzymają się wiary, że musi być lepsza niż współczesność.

Jeden z moich przyjaciół wspominał ostatnio rozmowę z końca 1999 roku, z panią wyrażającą głębokie zaniepokojenie „problemem roku 2000”. W pierwszej chwili założył, że obawia się ona walki o przetrwanie w świecie, spustoszonej przez powszechną awarię systemów komputerowych, jaką niektórzy wtedy wieszczili. Poprawiła go szybko.

Jej praca była frustrująca, małżeństwo w strzępach a jej życie w ślepej uliczce. Martwiła ją tylko perspektywa, że nadejdzie 1 stycznia 2000 i nic się nie zmieni.

Mogłoby się wydawać, że nudna praca, rozpadające się małżeństwo i kryzys wieku średniego są jednak lepsze, niż umieranie z głodu w wypalonym budynku, w efekcie społecznego kataklizmu. A jednak historia, którą opowiedział mój przyjaciel, w żadnym razie nie jest wyjątkowa. Jednym z najbardziej niepokojących znaków naszego czasu jest to, że ludzie traktują światową katastrofę jak plamę atramentu w teście Rorschacha, projektując na nią swoje marzenia o lepszym życiu. Do pewnego stopnia jest to skutek powszechnego nawyku rzutowania własnych marzeń na tło niepewnej przyszłości. Po drugie, częścią narracji apokaliptycznej jest to, że śmierć przytrafia się zawsze innym. Nieważne jak nieprzygotowany do walki o przeżycie jest nasz przyszły ocaleniec, w marzeniach zawsze będzie się widział wśród szczęśliwej gromadki tych, co przetrwali. Poza tym jednak, mamy tu głębsze powody.

Wciąż niezapełniona pozostaje polityczna próżnia, którą w latach 1960 stworzył upadek Nowej Lewicy i odejście – na długo przed Reaganem – prawicy od jej konserwatywnych ideałów. W efekcie już od wielu lat większość ruchów radykalnych definiuje swoje cele w języku reaktywnym – języku protestu i oporu – mainstream zaś porzucił dawne zobowiązania na rzecz utrzymania status quo dla niego samego. Obu stronom oszczędziło to przerażającego wyzwania: stworzenia konstruktywnych propozycji dla przyszłości. Wadą takiej sytuacji jest, że tym, którzy wyczuwają konieczność zmiany, nie pozostaje nic dla podtrzymania nadziei, poza fantazjami o przyszłym świecie doskonałym. Skłania to ludzi do zapominania, że wszystkie przeszłe cywilizacje, upadając, dawały życie nie Utopii, ale bolesnym wiekom wojen, migracji, depopulacji, zubożenia i utraty bezcennego dziedzictwa kulturowego. Rewolucjoniści, co twierdzą, że już nic gorszego od status quo nie może być, często są zaskoczeni, jak bardzo stan rzeczy pogarsza się po rewolucji. Tak samo ci, którzy teraz widzą cywilizację przemysłową jako zło ostateczne, mogą kiedyś wspominać stare dobre czasy, wśród ruin po upadku, którego tak wyczekują.

Co więcej, ostatnie kilka dekad zrodziło, głównie, choć nie tylko w Ameryce, szczególny rodzaj demonologii politycznej. Najdrobniejsze różnice w poglądach konkurujących partii są w niej przedstawiane w kategoriach absolutnego zła i dobra. Ożywiona debata na temat cech kandydata na urząd jest krwią i życiem republiki, ale jeśli ktoś nie może przejść obok portretu przeciwnika politycznego, nie wykrzykując przy tym wyzwisk – a widziałem to po obu stronach podziałów w dzisiejszej Ameryce – to coś poszło bardzo nie tak.

Przydatna tu będzie Jungowska koncepcja „projekcji cienia¹”. Zbyt wielu Amerykanów popadło w kuszący, lecz zgubny nawyk obwiniania politycznych przeciwników za ich własne resentymenty i uczucie wstydu. Najbardziej nawet pobieżne spojrzenie w

1 W popularnym ujęciu koncepcja ta wytłumaczona jest np. w <http://miejscedobrejterapii.pl/2018/10/01/co-warto-wiedziec-o-projeckji/> (pobrane 27.04.2019).

historię pokazuje, dokąd prowadzi ta logika kosztów ofiarnych. Nie jest to miejsce, gdzie jakkolwiek zdrowy na umyśle człowiek chciałby się znaleźć. Jak to w proroczym eseju² wskazał sam Jung, tragedię Niemiec lat 1933-45 najłatwiej pojąć jako rezultat tego rodzaju projekcji, z Wagnerowskim *Götterdämmerung* w finale. Ameryka najbliższej przyszłości może całkiem prawdopodobnie wpaść w szpony podobnego szaleństwa.

Czy tak odrażające rzeczy wydarzą się, czy nie, dziejący się kryzys społeczeństwa przemysłowego przyniesie zapewne wysyp wszelkich samobójczych ideologii, chyba że przestaniemy postrzegać obecną cywilizację jako absolutny szczyt lub dno ludzkiej kultury, a dostrzeżemy, że zawiera ona tyleż składników wartych ocalenia, co odpadów do wyrzucenia na śmietnik historii. W miarę, jak epoka taniej energii odchodzi w przeszłość, wiele rzeczy się zmieni. Dla większości ludzi owe zmiany oznaczać będą więcej wyzwań a mniej komfortu, za to kłopoty i niedostatek w obfitości. Niewątpliwie pojawią się nowe formy życia społecznego, lecz ich użyteczność ograniczać będą twarde realia malejących zasobów, społecznego chaosu i zrujnowanej biosfery.

Początkiem tej przyszłości jest fakt, że cywilizacja przemysłowa jest na równi pochyłej, wiodącej na złomowisko, gdzie spocznie obok innych zgastych cywilizacji przeszłości. Wyłaniające się wokół nas kryzysy są zaledwie manifestacjami tych samych wzorców, które warunkowały upadek innych cywilizacji. Jak sugeruję w *Długim Upadku*, wzorce te najpewniej wywołają powolny upadek cywilizacji, prowadzący do Wieków Ciemnych, które mogą zaprzepaścić wiele z dziedzictwa technologii, wiedzy i kultury. W niniejszej książce omawiam działania, które mają zachować większość użytecznego dziedzictwa i, poprzez proces ekologicznej sukcesji, przekazać go naszym potomkom, jako katalizator wzrostu ekotechnicznych społeczeństw dalekiej przyszłości.

Nawet wtedy, epoka ekotechniczna nie będzie ani o jotę bardziej Utopią, niż współczesność. Pozbędzie się być może części nękających nas problemów, ale za to będzie miała dosyć własnych. Nawyk projekcji cienia każe ludziom odrzucać wszystko, co nie jest w pełni doskonałe, ale takie myślenie jest luksusem, na który stać jedynie wieki obfitości.

Skutki homeostazy

Marzenie o apokalipsie jako drodze do Utopii wzmacnia jeszcze jeden nieproduktywny nawyk, bardzo dziś popularny w kręgach aktywistów. Każdy pojawiający się kryzys traktują oni jako ten ostatni, decydujący cios, od którego stary porządek upadnie, a narodzi się nowy, wspaniały świat. To oczywiście zrozumiałe, że gorliwi wyznawcy nadejścia jakiegoś nowego systemu będą widzieć jego pierwsze znaki wszędzie dookoła. Gdy jednak powoduje to całe serie fałszywych prognoz, dawka realizmu może pomóc.

2 <http://www.philosopher.eu/others-writings/essay-on-wotan-w-nietzsche-c-g-jung/> w tłumaczeniu angielskim.

Prawie wszystkie owe mylne przewidywania spowodowane są niezrozumieniem głównego pojęcia ekologii: *homeostazy*. Jedną z cech odróżniających żywe systemy – komórkę, organizm, ekosystem czy planetę – od materii nieożywionej jest ich dążenie do zachowania równowagi w zmieniających się warunkach. Małe jaszczurki, pojawiające się w moim ogrodzie co lata, są żywym przykładem homeostazy. Rano, gdy grunt jest zimny, mkną do najbliższej plamy słonecznego ciepła. Gdy robi się gorąco, chłodzą się w cieniu. Oto podstawowy mechanizm homeostazy: ujemne sprzężenie zwrotne. Zwalczają ciepło ciepłem, a gorąco chłodem. Równoważenie skrajności pozwala utrzymać system w zakresie warunków pozwalającym przeżyć. To nie zawsze wystarcza – jaszczurkom czy komukolwiek innemu – ale ten efekt zawsze trzeba brać pod uwagę.

Spółeczeństwo jest tak samo organicznym systemem, jak jaszczurka, i w taki sam sposób reaguje na zmiany w swoim otoczeniu. To jest właśnie czynnik, który pomija większość prognoz nagłego upadku: wobec oczywistego kryzysu, społeczeństwa zaczynają działać. Kompetentne przywództwo może wspomóc ten proces, ale nie jest niezbędne. Ostatnie sto lat było tak bogate w kryzysy, że teraz wiele mechanizmów homeostazy działa automatycznie. I tak, gdy cena ropy wystrzeliła do 134 dolarów za baryłkę, firmy naftowe wzmożyły poszukiwania nowych pól, zarazem otwierając stare studnie, nieopłacalne w błogich dniach taniej ropy. Gdy spadła do 35 dolarów, poszukiwania spowolniono i zamknięto nieopłacalne odwierty. To pozwoliło złagodzić wahania ceny, spowodowane z kolei przez inny mechanizm homeostazy – dopasowanie popytu do podaży.

Wzrost cen narzucił, w efekcie, pewną formę reglamentacji cenowej. Ci, którzy mają pieniądze, mają ropę. Ci, którzy nie mają – muszą żebrać. Jest to głęboko niesprawiedliwa metoda dystrybucji dóbr rzadkich, ale bez szybkich drastycznych zmian politycznych, to jest mechanizm, którego cywilizacja przemysłowa użyje, gdy zaczną się braki. Reglamentacja cenowa ma jedną zaletę: kupony reglamentacyjne (nazywamy je „pieniądzem”) i infrastruktura ich obiegu są już na miejscu, a większość ludzi ma jakiś tam dostęp do obu. Zmiana zasad reglamentacji cenowej na mniej niesprawiedliwe jest możliwa, a z pewnością warto zbadać możliwości późniejszego zastąpienia jej czymś całkiem innym – bardziej równościowym. Wszystko to są także procesy homeostatyczne, których celem jest takie zarządzanie spadającą dostępnością paliw, żeby oszczędzić zniszczeń tkance społecznej.

Inne przykłady sprzężenia zwrotnego znajdziemy w nagłówkach wiadomości. W Oregonie, gdzie mieszkałem do niedawna, większość terenów w żyznej dolinie rzeki Willamette od lat była zajęta pod uprawę nasion traw dla przydomowych trawników. Gdy „bańka mieszkaniowa” pękła, rynek nasienny upadł. W tym samym czasie ceny pszenicy poszły w górę, z powodu braków na rynku. W rezultacie farmerzy wzdłuż Willamette sięgają teraz pszenicę zamiast traw. Tak samo inne regiony, gdzie uprawiano różne niszowe rośliny, mają teraz dobre powody, żeby wrócić do podstawowych plonów spożywczych. I znów – tak działa homeostaza.

Te mechanizmy mają też bardziej ponure aspekty. Gdy cena żywności rośnie, śmierć głodowa zagląda w oczy biednym i wykluczonym. To jest tragedia i kryzys moralny znacznych rozmiarów. I tak jak wiele z nadchodzących zjawisk, nie jest on niczym nowym w historii ludzkości. Jeszcze w 19. stuleciu, głód regularnie nawiedzał większość krajów, a ponad połowa populacji żyła w biedzie – nawet w krajach uprzemysłowionych. Większość dzisiejszych mieszkańców świata uprzemysłowionego zapomniała, jak bardzo niedostatek był częścią życia codziennego, zanim nadeszły wspaniałe dni taniej i obfitej energii.

W miarę jak paliwa kopalne będą się stawać rzadsze, a coraz większa część globalnych upraw będzie przeznaczana na biopaliwa, prawdopodobnym skutkiem będzie wzrost liczby klęsk głodu i coraz dłuższa lista „upadłych państw”. Jednocześnie, w świecie przemysłowym, przesunięcie dochodów z miast do obszarów rolnych wywoła uderzeniowe zmiany gospodarcze, polityczne i kulturalne. Przesunięcie owo trudno będzie śledzić, gdyż w efekcie spekulacji i niestabilności gospodarczej ceny wielu dóbr rolnych będą wzlatywać pod niebo i pikować w dół w oszałamiającym tempie. W tle owej zmienności ogólny poziom cen będzie jednak szedł w górę. Miną prawdopodobnie wieki, zanim żywność stanie się znów tak tania (w stosunku do dochodów), jak to było w drugiej połowie XX wieku.

To wszystko jest działaniem homeostazy na całkiem innym poziomie, częścią procesu, w którym chwilowy przerost populacji, napędzany przez obfitość taniej energii, równoważony jest ograniczeniami biosfery. Łatwo jest to ujmować w kategoriach apokaliptycznych. Znacznie trudniej jest zrozumieć, że podobne nasilenie głodu, przemocy i zamętu społecznego było stanem normalnym przez większość historii ludzkości – i wciąż jest żywym wspomnieniem dla wielu żyjących współcześnie. Jednak struktury społeczne są odporniejsze i zdolne do reagowania na te wyzwania bardziej, niż zakłada większość współczesnych ideologii.

Wbrew intuicji, tendencja systemów społecznych do utrzymywania *status quo* czyni je skuteczniejszymi w obliczu nagłych katastrof. Rozważmy średniowieczną epidemię Czarnej Śmierci w Europie. Trudno ją przeliczyć jako przykład masowego wymierania: pierwsza fala epidemii w latach 1346–1351 zabiła jedną trzecią Europejczyków, zaś kolejne nawroty, w odstępach dziesięcioletnich, zabijały około 10% pozostałych za każdym razem.

Bunty chłopskie przyniosły odpowiednik „plądrującej tłuszczy”, tak ważnej w fantazjach dzisiejszych surwiwalistów. A jednak, mimo potwornej ilości ofiar, zamętu społecznego i głębokich przemian kulturowych, cywilizacja europejska nie upadła. Ocalańcy zebrali się do kupy i żyli dalej mniej więcej tak samo, jak przedtem.

Prawie każdy nagły kataklizm, jaki możemy sobie dzisiaj wyobrazić, przebiegałby w ten sam sposób. Nawet jeśli większość Amerykanów wymarłaby dziś w nocy, pozostali wciąż mieliby dostęp do kultury materialnej sprzed katastrofy i mieliby na czym budować.

Wciąż istniałyby biblioteki, szkoły i firmy. Opustoszałe budynki i instalacje można by znów uruchomić. Źródła energii, jak hydroelektrownie, można by przywrócić do stanu używalności. Nawet Internet mógłby odżyć, gdyby prąd popłynął ponownie. Rozbitkowie wciąż mieliby w sobie wychowanie sprzed upadku i umiejętności potrzebne do odtworzenia nowoczesnego społeczeństwa. Nie trwałoby długo, a jakiś odpowiednik współczesnej kultury pojawiłby się ponownie, tak samo, jak się to stało w Europie po czasach Czarnej Śmierci.

Tak kompletne odrodzenie jest jednak możliwe tylko wówczas, gdy niewiele czasu minęło od katastrofy. Jeśli upadek trwa dłużej, perspektywy nie są już tak różowe. Stopniowy upadek, rzecz jasna, zajmuje więcej czasu. Gdy się już dokona, ludzie pamiętający „jak się robi” rozwiniętą cywilizację będą już w grobie, a wszelkie nietrwałe zapisy i zasoby obrócą się w proch. Co innego, jeśli włamujemy się do opuszczonej biblioteki dwa lata po katastrofie, kiedy książki są zakurzone, lecz czytelne, a co innego, gdy minęło dwieście lat, a wydrukowane na tanim, kwaśnym papierze książki rozpadły się już, lub zgnęły od wilgoci. Tak samo Internet może przetrwać kilka nagłych katastrof, ale czym innym jest „śmierć tysiąca noży” zadana przez zbyt małe fundusze, brak serwisu, wyczerpanie się części zamiennych, odcięcia prądu i innych, coraz mniej dostępnych, zasobów.

Zmierzch technologii

Kiedy zmierzchały poprzednie cywilizacje, równia pochyła upadku usiana była okresami ostrego kryzysu, gdy potrzeby bieżące absorbowały wszelkie dostępne zasoby. W tych okresach wszystko, co nie było bezpośrednio przydatne, szło w odstawkę, o ile nie było rozebrane na części, użyte na opał czy zniszczone podczas jakichś walk. Oto drugie oblicze homeostazy: społeczny wysiłek, aby odzyskać równowagę, pomaga tym, co przetrwali nagłą katastrofą, ale może przyspieszyć długoterminowy upadek. Każdy taki kryzys można sobie wyobrazić jako zwężenie rzeki, przepuszczające tylko część wody – pamięci dziedzictwa kultury i wiedzy. Jeśli powtórzy się to wystarczająco wiele razy, mało co w końcu zostanie.

Technologia, w której tak wielu widzi dziś zbawienie, będzie w tych czasach mieczem obosiecznym. Kiedy dziś mówimy o roli technologii w przyszłości, większość ma na myśli te, które przyciągają uwagę, są wciąż nowe i atrakcyjne. Te, które jeszcze nie wtopiły się w tło codziennego życia. Szczególnie w czasach upadku, los społeczeństw często jednak zależy od zachowania lub utraty technologii tak powszechnej, że aż niezauważalnej.

Dla mieszkańców Wyspy Wielkanocnej, na przykład*, czółna pełnomorskie były elementem codzienności przez tysiące lat, zanim ich przodkowie dotarli na ten zachodni

* [Od tłumacza] Autor opiera się na popularnej przez wiele lat teorii, która tłumaczyła prawie całkowite wymarcie populacji Wyspy Wielkanocnej walkami i zniszczeniem środowiska naturalnego. Nowe badania proponują także inne wytłumaczenia: <https://edition.cnn.com/2018/08/13/world/easter-island-statue-study-intl/>

przyczótek Polinezji. Być może dlatego właśnie nikt nie przewidział konsekwencji wycinania zbyt wielu drzew. Zniszczenie starodrzewu oznaczało brak grubych pni, podstawowego materiału do budowy wielkich canoe. Bez nich nie można było łowić ryb, aby wykarmić ludność, ani uciec z pułapki, w jaką ludzie zmienili wyspę. Czótą były od zawsze tak wszechobecne w życiu wyspiarzy, że prawdopodobnie nikt nawet w najgorszych snach nie pomyślał o tym, że mogłyby zniknąć.

Jak opisuje średniowieczny arabski historyk Ibn Chaldun, podobne uzależnienie od podatnej na utratę technologii doprowadziło do upadku i opustoszenia miasta Afryki Północnej, w czasach przed jego narodzinami. Muqqadima, jego traktat o siłach kształtujących historię, poświęca dużo uwagi relacjom między osiadłymi cywilizacjami rolniczymi a społeczeństwami nomadycznych pasterzy. Jest to związek wart obserwacji. Od czasów starożytnej Sumerii, co dla historyka jest najdalszą osiągalną przeszłością, zmiana relacji siły między pustynnymi pasterzami a osiadłymi rolnikami wyznaczała puls historii. Cywilizacje wzrastały na gruncie nowych technologii, prosperowały i rozszerzały się kosztem wędrownych sąsiadów, przekazywały im swoją wiedzę i umiejętności, po czym upadały pod ich naporem.

Od innych historyków badających ów cykl, odróżnia Ibn Chalduna jego skupienie na tym, jak technologia napędza proces do jego tragicznego końca. Od czasów sumeryjskich, końcem osiadłego życia na Bliskim Wschodzie była sieć kanałów nawadniających. O ile nawadnianie pustyni może spowodować odkładanie się soli w glebie, proces ten jest powolny, nie tak automatyczny i niszczący, jak dziś uważa część autorów. Zbyt mało się mówi o tym, że kraje Żyznego Półksiężycy wciąż produkują znaczne ilości pszenicy i jęczmienia. Te same błędy w ocenie, co jest ważną, podtrzymującą życie technologią, jakie popełnili mieszkańcy Wyspy Wielkanocnej, stały się piętą achillesową rolnictwa narodów pustyni.

W czasach średniowiecza, z racji zmian klimatycznych i erozji gleby, społeczeństwa Bliskiego Wschodu, aby przeżyć, musiały łożyć znaczną część swoich zasobów na utrzymanie kanałów i dróg wodnych. To był ich słaby punkt, gdyż najeźdźcy z pustyni rzadko rozumieli ważność systemu irygacji i odmawiali jego utrzymywania, aż lokalne awarie doprowadziły do załamania całości. Tak jak wylesienie Wyspy Wielkanocnej, załamanie sieci nawadniającej było biletem w jedną stronę. Gdy ziemia orna zmieniła się w pustynię, nie było już skąd wziąć bogactwa, koniecznego do odbudowy. Zamieszkałe od tysięcy lat obszary stały się pustkowiem, gdzieniegdzie upstrzonym rumowiskami ludzkich siedzib.

Te wszystkie wydarzenia odbijają się niemiłym echem także współcześnie. Jak mieszkańcy Wyspy Wielkanocnej, nasze społeczeństwa bazują na nieodpowiedzialnej eksploatacji ograniczonych zasobów. Jak cywilizacje Bliskiego Wschodu, opisane przez Ibn Chalduna, zależy od kruchych systemów podtrzymania życia, które niewielu rozumie, a które nasi przywódcy polityczni chętnie pozbawią finansowania dla krótkotrwałych politycznych korzyści. Ponadto system przemysłowy, dzięki któremu

żyjemy, istnieje już tak długo, że większość z nas nawet nie wyobraża sobie jego zniknięcia.

Pierwszy etap nadszarpniętego kryzysu już się dzieje. Czym dla wyspiarzy były wielkie drzewa, a dla Bliskiego Wschodu kanały, tym dla cywilizacji przemysłowej jest obieg pieniądza. W ostatnich dekadach spekulacyjne wymysły, udające innowacje finansowe, odegrały tę samą rolę, co nomadzi u Ibn Chalduna. W rezultacie, jak w latach 30. XX w., tak i teraz kraj wciąż bogaty w zasoby i liczną wykwalifikowaną siłę roboczą zsuwa się w biedę, gdy załamał się delikatny system społecznej alokacji zasobów.

Tym, którzy widzą globalną katastrofę jako jedyny sposób upadku cywilizacji przemysłowej, łatwo przeoczyć mniejsze zmiany, prowadzące do tego samego, tylko w wolniejszym tempie. Jak ów chłopiec, który w słynnej przypowieści ostrzega przed wilkami, przekonany, że olbrzymia armia wilków wielkości koni nagle spłynie z gór, pożerając wszystkie owce świata i uznaje każdy świst wiatru w koronach drzew za wycie matki wszystkich wilczych sfor. Tymczasem prawdziwe wilki, wyliniate, niedożywione i przygnębiająco nieliczne w porównaniu z superwilkami z wyobraźni, cichutko podbierały co noc owcę lub dwie z obrzeży stada.

Jeśli pasterz nie zauważy wilków w sforach liczących mniej niż pięćdziesiąt sztuk, to oczywiście jego owce zostaną stopniowo wyjedzone. Podobnie dziś, zadziwiająco wiele spraw umyka wielu ludziom. Dlatego ważne jest, abyśmy próbowali zobaczyć kształt przyszłości i możliwych odpowiedzi na jej wyzwania. Oprzyjmy się w tym na lokalnych warunkach i zasobach, jakie można będzie zmobilizować. Pamiętajmy też, że historia lat upadku poprzednich cywilizacji może nam dać cenny wgląd w to, jak takie upadki wyglądają w rzeczywistości.

Odpowiedzią jest adaptacja

Zbyt wielu ludzi myśli dziś w kategoriach planowania przyszłości z góry lub apokaliptycznej transformacji świata. Lepszą odpowiedzią na przyszłe wyzwania jest uwzględnić procesy homeostazy, stabilizujące strukturę społeczeństwa i konieczność radzenia sobie z przyszłością krok po kroku. Przyszłość, ukształtowana w ten sposób, nie będzie ani wcieleniem czyichś świadomych planów, ani narzucona ludzkości w wyniku gwałtownych zmian. Wyłoni się zamiast tego w procesie „negocjacji” pomiędzy ludzkim wysiłkiem a reakcjami Natury. Będzie to przyszłość, jednym słowem, adaptatywna.

Adaptatywność to termin złożony i wieloznaczny. W żargonie biologii ewolucyjnej oznacza to wszelkie cechy, pozwalające organizmowi skutecznie reagować na wymagania środowiska zewnętrznego. Jeśli otoczenie jest stabilne, adaptatywność wymaga niezmiennego zestawu cech, przekazywanego z pokolenia na pokolenie. Gdy nadchodzi zmiany, zmienia się też to, co służy adaptacji. Odchylenia genetyczne, kłopotliwe w dawnych warunkach, stają się szansą w nowych. Mogą dać nawet początek

nowemu gatunkowi. To nas kieruje do innej, słownikowej definicji. Według Webstera jest to „okazywanie lub posiadanie zdolności, lub skłonności do adaptacji”.

Oba te znaczenia są bardzo ważne dla przyszłej pracy w warunkach upadku cywilizacji przemysłowej. Z jednej strony musimy znaleźć takie sposoby życia, które będą adaptatywne w sensie ekologii, czyli pasujące do nowej rzeczywistości: niedoboru energii i twardych ograniczeń środowiskowych. Z drugiej zaś, nie obudzimy się w tej nowej rzeczywistości z dnia na dzień, ani nie wiemy z góry, jaka dokładnie ona będzie. Dlatego ważne jest też rozwinięcie „słownikowej” adaptatywności – zdolności dostosowania się do nieprzewidzianych zmian w trakcie procesu.

Możemy tu naszkicować pewne podstawowe wytyczne podejścia adaptatywnego. Najpierw, musi ono być skalowalne. Rozwiązania trzeba testować z użyciem skromnych zasobów, na małą skalę, a zwiększać ją, jeśli okażą się sukcesem. Dalej, musi być elastyczne – reagować twórczo na nacisk sytuacji i być użyteczne w zmiennych warunkach zewnętrznych. Po trzecie, podejście adaptatywne jest modułowe: elementy danego rozwiązania powinny być łatwe do wydzielenia i wymiany, zależnie od skali i dostępnego zaawansowania technicznego. Ostatecznie, musi ono być otwarte – nie może wymagać przyjmowania żadnej szczególnej ideologii czy światopoglądu, lecz działać w wielu różnych systemach wartości i obyczaju.

Te wytyczne podążają śladem jednej z najrozumniejszych (i najmniej pamiętanych) książek wydanych w ruchu *appropriate technology* lat 1970, „Muddling Towar Frugality” Warrena Johnsona. Autor dowodzi w niej, że koniec dobrobytu, napędzanego paliwami kopalnymi, jest nieunikniony, a próby odwrócenia tego są niczym innym jak odgrywaniem króla Kanuta, nakazującym przyptywowi odstąpić. Zamiast tego, sugeruje Johnson, należy się nauczyć z tym żyć – a najlepszą metodą jest podjąć skromne, stopniowe i niepozorne działania, które przeprowadzą nas przez przyszłe kryzysy.

Jednym z powodów, które czynią książkę Johnsona tak znakomitym przewodnikiem, jest to, że autor rozprawia się bezpośrednio z narracjami kulturalnymi, na których budowane są projekty zmian społecznych. Jak sugeruje, nawyk polegania na ideologiach i wielkich planach zaczerpnięty jest z języka tragedii, gdzie wielcy bohaterowie dla idei ryzykują wszystkim. To oczywiście jest materiał na wielką literaturę i dramat, lecz bohaterowie tragiczni zwykle giną, a często zabierają ze sobą wszystkich swoich bliskich. Może więc nie jest to najlepszy model dla konstruktywnej zmiany.

W zamian Johnson proponuje zadziwiającą alternatywę: bohatera komicznego. Bohater komiczny to zwykle niezgrabiasz, w zagubieniu płaczący się po scenie, z celem nie bardziej ambitnym niż wyjść z opatów z całą skórą na grzbiecie. Jest żywą antytezą herosa, a jego wysiłki, aby przetrwać, nie zaskarbią mu tego rodzaju szacunku, za jakim najwyraźniej tęskni tak wielu koryfeuszy zmian społecznych. Jednak inaczej niż bohater tragiczny, to on właśnie zwykle pozostaje wśród żywych, a często doprowadza i resztę obsady do końca spektaklu.

Zmierzch i upadek cywilizacji przemysłowej może wydawać się marnym materiałem na komedię, ale podstawowa strategia plątania się ma wiele zalet. Jak wspomnieliśmy wcześniej, nikt nie wie, jaki kształt przybierze cywilizacja ekotechniczna. Nikt nie wie, jaką drogą mamy do niej dojść z naszego społeczeństwa przemysłowego. Nikt nie wie, jak szybko spadnie produkcja paliw kopalnych, jak i gdzie uderzy tsunami szoku gospodarczego, jak szybko zmiany klimatu wpłyną na dużą skalę na współczesne społeczeństwa. Nie znamy odpowiedzi na żadne z krytycznych pytań. I nikt nie wie, jaka – jeśli jakakolwiek – odpowiedź będzie właściwa, aby sobie z nimi poradzić.

Wiemy jedynie, że pewne rzeczy nie działają i trzeba je zmienić. Że inne rzeczy działają, ale niebawem mogą przestać działać, więc warto mieć coś na zastępstwo. W takiej sytuacji stawianie wszystkiego na jedną, wspaniałą kartę wielkiego planu dla przyszłości to marna szansa. Mądrzej jest mieć wiele alternatywnych planów, jak odpowiedzieć na dane wyzwanie. Tak samo, zamiast próbować zmienić wszystko i na jeden raz, podejście cząstkowe pozwala skupić się na wąsko zdefiniowanych aspektach kryzysu i daje się wdrożyć na małą skalę, zanim spróbujemy wielkiej.

Przyjęcie podejścia adaptatywnego – i dynamiczna adaptacja do zmiennych sytuacji – może dać lepsze rezultaty niż jakikolwiek plan. Ostatnio popularne stało się łacińskie określenie *solvitur ambulando* – dosłownie znaczy to: „rozwiązany idąc”, a mniej dosłownie, rozwiązanie przez praktykę*. Ten zwrot mógłby być mottem adaptatywnego podejścia do kryzysu społeczeństwa przemysłowego. Jednak to wymagałoby, aby członkowie tego społeczeństwa drastycznie zmienili swój sposób myślenia.

Czas Wielomyślności

Nawet ci, którzy dobrze wyczuli, jakie kryzysy nas czekają, nie zawsze rozumieli tę konieczność. Kiedyś, w latach 1970, kiedy to bariery wzrostu po raz pierwszy pojawiły się na radarze współczesnego kolektywnego dyskursu, mnogość dyskutantów twierdziła, że planowanie globalne – i TYLKO planowanie globalne – mogłoby cofnąć ludzkość znad przepaści. Od tamtych czasów podobne pomysły pojawiają się w regularnych odstępach czasu. Niezłomny environmentalista Lester Brown jest tego przykładem. Oryginalną wersję swojego „Planu B” opublikował w 2003 roku. Gdy pisałem tę książkę, wyszła wersja 3.0. I na pewno jeszcze zobaczymy kolejne.

Gdyby tylko dzisiejszy kryzys dał się pokonać planowaniem, niewiele mielibyśmy powodów do żałobnictwa. Archiwa miast i hrabstw amerykańskich przechowują plany energetyczne, spisane i zatwierdzone, ze znacznym udziałem obywateli, w latach 70. XX w. Zawierają one zasady oszczędności energii, projekty transportu publicznego, zmiany zagospodarowania przestrzennego, zmniejszające potrzebę transportu samochodowego i wiele innych sensownych rzeczy. Prawie wszystkie te plany zbierają kurz na półkach od czasów Reagana, a reszta poszła w odstawkę, aby w latach 1990

* [Od tłumacza] Nieco podobne do polskiej „metody prób i błędów” albo „wyjdzie w praniu”.

zrobić miejsce pod najnowszą bańkę spekulacji gruntami. Sceptycyzm co do sensu następnej rundy planowania wydaje się uzasadniony.

Ci, co próbują dziś zaprojektować społeczeństwo ekotechniczne, będą w sytuacji nieszczęsnego inżyniera z 1947 roku, obarczonego zadaniem zaplanowania produkcji oprogramowania dla jeszcze nieistniejących komputerów. W owym czasie nikt jeszcze nie wiedział, który standard, analogowy czy cyfrowy, weźmie górę. Eksperymentalne maszyny liczące owych czasów używały przełączników, lamp próżniowych i innych dziś przestarzałych technologii. Większość elementów dzisiejszych komputerów nie istniała jeszcze nawet w wyobraźni projektantów. W takich warunkach jedyny sensowny plan brzmiałby „Inwestuj w badania podstawowe i zobacz, jak możesz wykorzystać ich wyniki”.

Wszystko inne byłoby stratą czasu, a im bardziej szczegółowy byłby plan, tym bardziej byłby bezużyteczny. Płyne stąd ważna lekcja: sensowne planowanie jest możliwe tylko wtedy, gdy znamy już zarysy rozwiązania.

Mimo to wielu współczesnych, studiujących przyszłość, zaczyna od założenia, że skuteczna odpowiedź na obecne wyzwania wymaga jednomyślnego przyjęcia jakiegoś planu działań, a następnie wdrożenia go w życie. Oczywista niepewność rozwoju sytuacji w przyszłości czyni tę propozycję co najmniej wątpliwą. Nawet jeśli uda się, pośród konkurencyjnych wizji przyszłości, znaleźć jakiś wspólny mianownik dla porozumienia, w najlepszym razie objąłby on tylko ułamek dostępnych opcji. A nie ma sposobu, aby stwierdzić, czy te właśnie możliwości są najlepszymi drogami do zbadania. Dążenie do jednomyślności ryzykuje więc zawężenie poszukiwań właśnie wtedy, gdy potrzebujemy tak szerokiej gamy potencjalnych wyborów, jak tylko to możliwe.

Tu właśnie wchodzi do gry nowe podejście: wielomyślność*. Wielomyślność, koncepcja wprowadzona przez teoretyczkę postmodernizmu Ewę Ziarek, oznacza świadome unikanie jednomyślności. Znajduje ona zastosowanie, gdy jednomyślność, z jakichś powodów, jest niemożliwa do osiągnięcia, lub nie byłaby rozsądna. Na przykład, gdy nieusuwalne sprzeczności uniemożliwiają znalezienie wspólnego mianownika w ważnych sprawach, albo gdy podjęcie wiążącej decyzji byłoby przedwczesne. W takich sytuacjach zachęcanie ludzi, aby podążali w różnych, a nawet jawnie sprzecznych, kierunkach zwiększa szanse, że ktoś trafi na lepsze rozwiązanie.

Wielomyślność nie jest jedynie próżnią po nieosiągniętej jednomyślności. Ma własne metody, wartości i styl, a jej wyniki są jakościowo różne od innych metod podejmowania decyzji: jednomyślności, czy zasady większości. W historii sztuk pięknych najbardziej twórcze były właśnie okresy wielomyślności, gdy twórcze umysły odrzucały ustalone opinie swych współczesnych i podążały za własnymi osobistymi inspiracjami. Wtedy właśnie pojawiały się najbardziej innowacyjne dzieła kultury. Wśród wszystkich wielkich artystów, mistrzów wielomyślności, największym jest sama Natura.

* [Przypis tłumacza] W oryginale „dissensus”, jako odwrotność „consensus”. Po polsku tłumacz zdecydował użyć pary antonimów „jednomyślność” i „wielomyślność”.

Na przykład pierwsze parucentymetrowe kręgowce, śmigające nad dnem płytkich mórz pół miliarda lat temu, ani nie dochodziły do genetycznej jednomyślności, w jakim kierunku ewoluować, ani nie zostały pchnięte w jednym kierunku przez czynniki zewnętrzne. Ich potomstwo stało się rybami, płazami, gadami, ptakami i ssakami. Jeden z ich potomków napisał tę książkę, inny ją przetłumaczył, a jeszcze inni ją czytają. Ewolucja to wielomyślność w działaniu: ciśnienie genetycznego zróżnicowania napiera na bariery środowiska i gdzieś tam przebija się z jakąś nową metodą adaptacji jak skrzydło nietoperza, przeciwstawny kciuk naczelnych, czy ewolucja kultury u ludzi.

Wchodząc w epokę surowych ograniczeń i nieprzewidywalnych okazji, prawdopodobnie najbardziej potrzebujemy właśnie tego procesu. Dlatego właśnie w następnych rozdziałach nie będziemy tworzyć reguł funkcjonowania społeczeństwa ekotechnicznego, a tym mniej wytycznych jego budowy. Zamiast tego przedstawię kilka idei, narzędzi i technik, dostępnych już dziś, pozwalających przewidzieć, jakie umiejętności potrzebne będą społeczeństwu ekotechnicznemu, jakie przydadzą się w bliższej przyszłości, a jakie może i w jednym i w drugim kontekście. Złożone przemiany, jakie nas czekają, wymagają, abyśmy zadbali o obie te potrzeby.

Dwie ręce żeglarza

W obliczu upadku cywilizacji nie ma planów niezawodnych. Mimo pomocy ze strony historii możliwe są fatalne błędy w ocenie przyszłości. Nawet ci, którzy prawidłowo ocenią zagrożenia, mogą nie być w stanie ich uniknąć. Właśnie dlatego tak ważna jest koncepcja wielomyślności. Gdy przyszłość jest niepewna, większe zróżnicowanie w ramach gatunku to większa szansa, że niektóre osobniki będą zdolne się zaadaptować. Aby zwiększyć zasięg i zakres eksperymentów, mądrzej będzie może zachęcać do wielomyślności, a nawet konkurencji, zamiast dążyć do jednomyślności wśród tych, co próbują reagować na kryzys społeczeństwa przemysłowego.

Wielomyślność jest potrzebna nie tylko, aby ustalić jakie technologie będzie się rozwijać, jakie organizacje tworzyć i wspierać, czy jakie strategie przeżycia uznane będą za obiecujące. Sięga ona też w przestrzeń celów. Jednym z głównych wyzwań w naszym położeniu jest to, że nikt nie wie, jaki rodzaj społeczeństwa ludzkiego będzie odpowiedni dla świata poprzemysłowego. Im bardziej różnorodne będą nasze wyobrażenia tu i teraz, tym większa szansa, że nasze działania, podjęte na ich podstawie, doprowadzą nas kiedyś do wartościowych rozwiązań.

Musimy też pamiętać o różnicy między działaniami przydatnymi na krótką i długą metę. Tu także musimy unikać mylnej idei, że do społeczeństwa ekotechnicznego da się przeskoczyć drogą jednej wielkiej transformacji. Wcześniej wspomniana obsesja apokaliptyczna czyni ten scenariusz pozornie racjonalnym, tak samo, jak naturalna tendencja wyznawców tej czy innej idei lepszego społeczeństwa, aby budować je tu i

teraz. Lekcja płynąca z sukcesji ekosystemów jest jasna: nawet najlepsze wyobrażalne społeczeństwo nie przetrwa, jeśli istniejące warunki faworyzują inny model.

Wynika stąd, że konstruktywne przygotowanie do przyszłości musi obejmować dwa zestawy strategii. Po pierwsze, wyzwania najbliższej przyszłości wymagają odpowiedzi z użyciem takich zasobów, jakie są dostępne teraz, niezależnie, czy będą jeszcze dostępne, gdy zaświta wiek ekotechniczny. Po drugie, musimy w miarę możliwości chronić zasoby, które będą użyteczne, gdy skończą się etapy przemysłu niedostatku i cywilizacji złomiarzy, aby nasi spadkobiercy mieli z czym zacząć budowę nowej kultury i cywilizacji, która powstanie z ruin świata przemysłowego.

Stara zasada z epoki pełnorejowych żaglowców mówiła, że gdy żeglarz pracował wysoko w takielunku, jedna z jego rąk była dla niego, a jedna dla statku. Było jego świętym prawem trzymać się kurczowo najbliższego drzewca czy liny jedną ręką, aby druga była wolna do ciągnięcia lin czy klarowania żagli. Ta sama zasada będzie użyteczna jako wytyczna dla tych, co mierzą się z zadaniem przygotowania na trudną i niepewną przyszłość. Jeden zestaw umiejętności, zasobów i narzędzi pomoże przetrwać najbliższą przyszłość, drugi zaś zachowa użyteczne dziedzictwo dla przyszłych pokoleń. Znając ludzką naturę, pierwsza część tego równania zapewne przyciągnie większość uwagi, ale obie one mają swoje miejsce w porządku rzeczy.

Następne rozdziały proponują postępowanie uwzględniające oba punkty widzenia. Przedstawiają one przykłady, które mogą być użyteczne dla przetrwania pierwszych fal zmian nadciągających ku społeczeństwu przemysłowemu, kładąc zarazem podwaliny pod wiek ekotechniczny w dalekiej przyszłości. Żadna z nich nie daje gwarancji sukcesu. Ci, którzy nie zgodzą się z tym czy innym stwierdzeniem poniżej, a nawet z nimi wszystkimi, niechaj pieczołowicie rozważą swoje stanowisko, a potem podążają raczej za swoją oceną, niż za moją. Wielomyślność nie ma faworytów; idee zaproponowane w tej, czy jakiegokolwiek innej, książce, to tylko ułamek możliwości, które warto zbadać podczas długiej wędrówki ku początkom ekotechnicznej przyszłości.